

Stanisław **DYGAT**



Dworzec w Monachium

Stanisław Dygat

DWORZEC W MONACHIUM

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-76-0

Copyright © Magdalena Dygat-Dudzińska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Tekst: Książka i Wiedza, Warszawa 1974

Oto perony na dworcu w Monachium. Hauptbahnhof im München. Stoję oparty o sztachety, które oddzielają tory od długiego pasażu łączącego perony z pomieszczeniami dworcowymi. Chwilami, gdy tak stoję, wydaje mi się, że jest we mnie coś z Kordiana w St. James Parku albo na szczycie Mont Blanc.

Hauptbahnhof im München. Przeklęte Monachium. Nie pierwszy raz przejeżdżam przez to miasto, dziwnie i dwuznacznie związane z Polską i z Polakami. Nie pierwszy raz przejeżdżam, a teraz po prostu umykam. Uciekam przed widmem płacziwej klęski, pod pewnymi względami gorszej od klęski wrześniowej. Oczywiście biorąc rzecz z punktu widzenia czysto osobistego. Zaznaczam to na wypadek, gdyby z powodu takiego porównania poczuł się oburzony jeden z owych patriotów, którzy dochrapali się na tej klęsce ładnych pieniędzy i zaszczytów. Na różnych innych klęskach też, i w ogóle na patriotyzmie. Ja na przykład. Gdybym ja przeczytał coś w tym rodzaju, od razu machnąłbym list do „Życia Warszawy”. Dumny, wyniosły, trochę drwiący, z niejasnymi aluzjami do krwi, którą przelałem. Prawdę mówiąc, przez całą okupację chyba się nawet nie zadrasnąłem w palec.

Kordian w St. James Parku albo na szczycie Mont Blanc? Żartujesz, kolego. Postaraj się choć chwilę nie udawać niczego przynajmniej przed samym sobą. Trudne to, ale przez moment, oczekując na Schnellzug München-Wien, poprobuję nakłamać o sobie na pięćdziesiąt procent, a nie jak zwykle na sto.

Słychać, jak huczy rozpędzone miasto. Dworzec dźwięczy swoimi prywatnymi odgłosami. Tłumy ludzi przechodzą w różne strony. Jedni krokiem szybkim, zdecydowanym, z pociągu do miasta lub przeciwnie. Inni bez określonego celu. Oczekują na odjeżdżający albo przyjeżdżający pociąg. Może znaleźli się na dworcu z powodu spraw nie związanych z komunikacją i transportem. Jest wiele bardzo różnych spraw na wszystkich dworcach świata. Włączą się tam i z powrotem turyści amerykańscy i inni turyści. Ludzie wyglądający statecznie lub dwuznacznie. Hippisi. Mężczyźni z małym rudym wąsikiem, cygaretką w ustach i jakby w mundurach koloru feldgrau, ale nie wojskowi. Może leśnicy albo właściciele piwiarni czy po prostu zwyczajni wieśniacy. Nie ma dworca w całych Niemczech, a również i w Austrii, gdzie nie znalazłby się taki facecik z rudym wąsikiem, z cygaretką i w mundurze feldgrau, choć nie wojskowy. Aha, i jeszcze w kapelusiku z miotełką.

Po dworcu włączą się też piękne i eleganckie kobiety i kobiety nieokreślone. Ekipy sportowe, orkiestry symfoniczne i kameralne. Zespoły baletowe i zespoły beatowe, dziewczyny w dżinsach. Polacy na delegacjach dewizowych. Sprzedawcy wykrzykują nazwy wyrobów tytoniowych i spożywczych. Gazet, napojów. Wzdłuż hali dworcowej plakaty reklamy: „Cunard Line”, mydło „Rexona”, Dresdner Bank, występ „Mazowska”, Puchar NRF: F. C. Bayern-Schalke 04.

Przy niektórych peronach stoją pociągi, przy innych nie. Tabliczka: München-Wien, Schnellzug. Ten pociąg nie jest jeszcze podstawiony. Ja mam nim odjechać, uciec. Wracam do Warszawy. Schnellzugiem Monachium-Wiedeń. W Wiedniu przesiadka. Südbahnhof, wagon sypialny „Orbisu”, zadyszani otyli mężczyźni wydający ostatnie szylingi w barwnych dworcowych kioskach. Potem, zatroskani rozliczeniem służbowym, długo nie zasną w orbisowskim przedziale drugiej klasy. A gdy już zasną, śnić im się będzie wesoły Meinl, kolorowy i beztroski jak róg obfitości. Czasem zbudzi ich własny krzyk, który natychmiast zapadnie, rozplynie się w stukocie kół, poświstach i jękach rozchybotanego wagonu.

Wracam do Warszawy przez Monachium, umykam chyłkiem przed widmem płacziwej i natrętniej klęski.

Już przejeżdżałem kiedyś przez to miasto. Teraz Los skierował mnie tu znowu. Nie wiadomo po co. Los to piękne słowo, za którym nie kryje się nic konkretnego. Zostało wymyślone przez ludzi dla usprawiedliwienia niedołęstwa, dla uchylecia się od moralnej odpowiedzialności za popełnioną z głupia frant podłość.

Moją pierwszą wizytę w Monachium Los zorganizował podczas wojny.

W 1939 roku, w październiku, powróciłem do Warszawy z nieudanej wędrówki. Nigdy nie służyłem w wojsku z powodu platfusa, ale uważałem za obowiązek w tej ciężkiej sytuacji wrześniowej gdzieś się przyczepić, do taborów albo do jakiejś służby pomocniczej. Prawdę mówiąc, mniej uważałem to za obowiązek, a bardziej bałem się opinii publicznej, która mogła nie uznać w czasie wojny mojego platfusa i potępić mnie, że nie chwytam za broń lub przynajmniej za coś podobnego w chwili, gdy cały naród jednoczy się przeciw wrogowi. Tak czy tak, nie udało mi się, podobnie jak wielu innym, odnaleźć żadnej zorganizowanej formacji wojskowej. Wiadomo, jak było we wrześniu. Ostatecznie wziąłem udział w dwu jakby rodzajach starć, i to nie z wrogiem, ale ze swoimi.

Najpierw w środku nocy na Pradze trzech tramwajarze w opaskach straży obywatelskiej i z odbezpieczonymi rewolwerami chcieli mnie rozstrzelać jako niemieckiego dywersanta. Byli dumni z powierzonej im broni i zniecierpliwieni, że jeszcze nie mieli okazji jej użyć, a ja im się pod tym względem spodobałem. Na szczęście spadła nagle bomba na pobliską kamienicę. Kamienica się zapadła, jeden z tramwajarzy upadł na ziemię zabity. Dwu innych uciekło w jedną stronę, ja w przeciwną.

Proszę, jakie wszystko jest względne: powiadam „na szczęście”. Ja, Polak, powiadam, że na szczęście niemiecka bomba rozwalila polski dom i zabiła co najmniej jednego Polaka, warszawskiego tramwajarza, na pewno człowieka prawego i dobrego patriotę, nadmiernie tylko upojonego nagłym i legalnym posiadaniem broni oraz podnieconego możliwością zrobienia z niej użytku.

Potem gdzieś na bezdrożach szosy garwolińskiej spotkałem czterech wyglądających dziarsko i bojowo oficerów, którzy wzbudzili moje zaufanie i wznieśli podpadającą nadzieję. Nieśli ciężki, zawinięty w derkę przedmiot, jak sobie pomyślałem, skrzynkę z granatami albo inny rodzaj broni zaczepnej. Stałem przed nimi na baczność i zameldowałem gotowość, by się do nich przyłączyć, proponując jako pierwsze zadanie pomoc na ochotnika w niesieniu ciężkiego przedmiotu. Wtedy rzucili się na mnie i zbili mnie po mordzie, a ten, który trzymał ciężki przedmiot, nie mając wolnych rąk, kopał mnie. Potem szybko oddalili się rzucając na pożegnanie wyzwiska i pogroźki.

Przyznaję, że te dwie przygody załamały mnie i wydało mi się, że najlepiej będzie wrócić do Warszawy. Ostatecznie mogłem jako tako zrozumieć postępowanie tramwajarzy, ale to, co zrobili dziarscy oficerowie, po prostu nie mieściło mi się w głowie. Dopiero dużo później, zastanawiając się nad tym, znalazłem i dla nich usprawiedliwienie: zapewne zawinięty w derkę ciężki przedmiot nie był żadnym rodzajem broni, ale kasą pułkową.

Wróciłem więc do Warszawy, wkroczyłem do niej niemal równocześnie z Niemcami. Nie bardzo rozumiem, jak się to stało, że nie spotkaliśmy się po drodze. Dopiero na moście Poniatowskiego spostrzegłem nagle, że idę razem z nimi. Pośród nich, zupełnie jakbyśmy sobie wracali z jakiegoś meczu, jechały ich czołgi, a oni szli nie w karnym szeregu, ale tłumnie, każdy sobie, milcząc, i nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Rozstaliśmy się dopiero na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich. Oni poszli w kierunku Dworca Głównego, ja skręciłem w lewo Nowym Światem.

Na jezdni leżały latarnie, poszarpane druty tramwajowe, pozabijane konie i szczątki rozbitych, częściowo lub całkowicie, domów. Gdzieś tam tliły się wygasające pożary. Za placem Trzech Krzyży unosiły się kłęby dymu. Rozedrgane powietrze z różowego światła niesło zapach spalenizny, panował rzeczowy nastrój Apokalipsy z ilustracji do Biblii Gustawa Doré.

Za placem Trzech Krzyży skręciłem przez ciekawość w lewo, w ulicę Marii Konopnickiej: to stamtąd, ze skarpy w głębi, unosiły się kłęby dymu. Paliła się Ambasada Francuska, brzydki i pretensjonalny budynek podobny do stajni. Paliło się jego lewe skrzydło, a z prawego ludzie wynosili, co się dało: meble, lampy, garderobę męską i damską, etażerki, skrzynki z szampanem, różne inne butelki, materiały piśmienne, żywność. Starszy pan w

pumpach i w cyklistówce, z nie pasującym do tego stroju profilem senatora rzymskiego, być może emerytowany nauczyciel łaciny, nawoływał do zaprzestania hańbiącej naród polski grabieży, którą nazwał również pierwszym, przerażającym bękartem wojny. Blask pożaru mienił się na jego bladej, szlachetnej twarzy, wyglądał wzniośle i patetycznie, ale użyczano mu mało uwagi. Jedyne nieliczni, delikatniejsi od innych, jakby nie chcąc urazić go kompletnym zbagatelizowaniem, odpowiadali, że lepiej, aby te dobra przyniosły jakiś pożytek Polakom, niż miały się spalić lub dostać w ręce Niemców. Nie było to pozbawione pewnej logiki i słuszności, obawiam się jednak, że słuszne pozornie rozumowanie stało się zaczątkiem trapiącego nas po dziś dzień konfliktu między pojęciem własności prywatnej i społecznej.

I jeżeli ja sam wziąłem w końcu nie zauważoną przez innych walizkę, która w pośpiechu została ciśnięta w kąt jakiegoś pokoju czy gabinetu, naprawdę nie zrobiłem tego w celu dokonania grabieży, ale po to, by zgodnie z nawoływaniami godnego i szlachetnego starca zabezpieczyć cudze dobro i we właściwym czasie zwrócić je prawemu właścicielowi. Do wnętrza ambasady wszedłem przez ciekawość, a co do tej walizki, dodatkowym bodźcem, by ją zabrać, stał się zabawny zbieg okoliczności: posiadała moje inicjały: E. D. Była to ładna, elegancka walizka ze świńskiej skóry i jakkolwiek zdeprawowanym i scyniczałym dziś ludziom wydać może się nieprawdopodobne, że zabrałem ją bez zamiaru przywłaszczenia, fakty świadczą za mną. Włożyłem tę walizkę do szafy i przez wiele dni nawet nie przyszło mi przez myśl, by ją otworzyć. I jeżeli w końcu ją otworzyłem, okoliczności, w których to nastąpiło, usprawiedliwiają mnie chyba co najmniej w jakimś stopniu.

Pewnego ranka zbudziło mnie gwałtowne walenie do drzwi. „Niemcy” – pomyślałem. Nie omyliłem się. Stało ich pięciu. Wehrmacht. W hełmach i z paskami pod brodą. Z przewieszonymi przez plecy karabinami. Imponujący i wspaniali.

– Szukamy broni – powiedział ten, który stał najbliżej drzwi. – Proszę oddać wszelką broń, jaką pan posiada.

– Nie posiadam żadnej broni i nigdy nie posiadałem.

Odsunął mnie, niezbyt brutalnie, ale stanowczo, i wszedł do mieszkania, a za nim inni.

– Gdyby pan oddał broń na wezwanie, nic by się panu nie stało. Jeżeli natomiast znajdziemy broń ukrytą, rozstrzelamy pana, i to zaraz tu, przed domem.

– Już dziś rozstrzelaliśmy siedmiu na taką okoliczność – powiedział inny i uśmiechnął się przyjaźnie, pokazując piękne białe zęby. W ogóle zachowywali się grzecznie. Rozeszli się po mieszkaniu i zaczęli wywracać wszystko do góry nogami, a ten, który wszedł pierwszy i komenderował, znalazł wśród rupieci toporek harcerski. Kiedyś należałem do harcerstwa, potem wyrzucili mnie za łamanie słowa i palenie papierosów, ale toporek mi został. Bałem się, czy nie uznają go za przechowywaną broń, jednak nie przyszło im to do głowy i tylko komendant podrzucił go do góry i wykonał nim parę indiańskich manewrów. Spodobał mu się.

Przeszukali już prawie wszystko i wreszcie ten komendant podszedł do szafy, w której leżała walizka nie znanego mi Francuza E. D. Otworzył szafę i pokazał toporkiem walizkę.

– Co jest w tej walizce?

– Nie wiem.

– Jak to, nie wie pan? Nie wie pan, co jest w tej walizce?

– To nie jest moja walizka.

– A czyja?

– Jednego Francuza.

– Jakiego znowu Francuza?

– Takiego jednego. Mojego przyjaciela. Był pierwszym sekretarzem Ambasady Francuskiej, ale uciekł przed wami. Miał za mało miejsca w samochodzie i prosił, żebym mu jedną walizkę przechował.

Nie zależało mi, żeby kłamać, ale przecież trudno, bym nagle zaczął im tłumaczyć wszystko o grabieniu palącej się ambasady przez warszawiaków, o szlachetnym staruszku i przypadkowym zabezpieczeniu własności nie znanego mi człowieka.

Roześmieli się zadowoleni, że pierwszy sekretarz Ambasady Francuskiej uciekł przed nimi, a żołnierz z toporkiem schylił się i chciał walizkę otworzyć, ale zamknięta była na kluczyki.

– Niech pan da kluczyki.

– Nie mam kluczyków.

– Jak to nie ma pan kluczyków?

– Nie mam. Mój przyjaciel nie zostawił mi kluczyków.

– Tylko samą zamkniętą walizkę?

– Tak, tylko samą zamkniętą walizkę.

– Hm. W takim razie muszę ją rozwalić.

Podniósł do góry toporek, zamachnął się i zatrzymał. Popatrzył na mnie, na walizkę, opuścił rękę i zaczął toporek podrzucać.

– Ładna, porządna walizka. Szkoda ją rozwalić.

Wciąż patrzył na mnie i wymachiwał toporkiem. Zrozumiałem, że chciałby sobie go zabrać i szuka w tym celu pretekstu. Chyba nie tyle wobec mnie, ile wobec siebie samego. Musiał być człowiekiem z gruntu uczciwym: rozstrzeliwanie ludzi w ramach normalnych obowiązków służbowych nie mogło budzić jego zastrzeżeń, nawet jeżeli ten rodzaj obowiązków nie podobał mu się. Zabranie natomiast komuś, choćby kandydatowi do rozstrzelania, jego własności wymagało rodzaju podkładki moralnej, zawarcia, pozornego przynajmniej, układu. Pokiwałem głową, żołnierz przyjął to z zadowoleniem. Podrucił toporek do góry, złapał go pewnie, po czym wydał krótki okrzyk nakazujący towarzyszom opuszczenie mieszkania. Wyszedł pierwszy, nie okazując pośpiechu.

Kiedy zostałem sam, przypomniał mi się ni stąd ni zowąd Zoppot. Po polsku dawniej Copoty, teraz Sopot. Moi rodzice byli średnio zamożnymi drobnomieszczańskimi snobami i chcieli imponować innym wyjazdami za granicę, ale nie stać ich było na jakąś Ostendę, Biarritz albo San Remo. W Copotach więc spędziłem pierwsze dziecięce wakacje. Tu też odkrywałem uroki świata. Te uroki zaprawione były z konieczności smakiem niemczyzny. Plaża i horyzont morza. Statki, różne, nieznane, skłaniające wyobraźnię do wiary w świat absolutnej przygody. I znane, szary „Ajax” i biała „Monika” pływające na Hel, biały prawie aerodynamiczny „Preussen” pływający do Królewca. Panorama Gdańska i cypel Neufahrwasser. Westbad i Ostbad. Korso Kwiatowe i kolorowe fontanny w ogrodzie Kasyna. Molo. Szczególny smak kisielu i zapach niemieckiej piekarni. Tajemniczy, śpiący w dzień jak znękana prostytutka, nocny lokal „Kakadu”, sklep z plażowymi artykułami i zabawkami na ulicy, która nazywała się Seestrasse, a dziś nazywa się Zwycięzców spod Monte Cassino i mieści się tam sklep „Galluxu”. Zieleń krzaków i zalesione wzgórza. W Leśnej Operze, gdzie dziś odbywa się festiwal sopocki, wtedy odbywały się festiwale wagnerowskie. Te zalesione wzgórza będą mi się zawsze kojarzyły z Lohengrinem i Tannhäuserem. Zapach morza, smoły i dymu. Meduzy. W okolicach plaży i w alejkach przy pensjonatach czaiły się dzieci niemieckie, napadały na nas i biły nas po mordzie. Czasem my czailiśmy się na nich, napadaliliśmy na nie i biliśmy je po mordzie. Trudno byłoby rozstrzygnąć, kto pierwszy zaczął, jedna i druga strona prawie co dzień dawała i brała po mordzie, rozgrywały się prawdziwe bitwy. Polscy i niemieccy rodzice stanowczo interweniowali i ubolewali, że instynkt wzajemnej nienawiści tak wcześnie zostaje rozbudzony w ich dzieciach. A przecież w gruncie rzeczy to nie działał żaden instynkt, ale oni sami napuszczali nas wzajem na siebie. Ich zachowanie, atmosfera, którą stwarzali, rozmowy, które prowadzili między sobą, takie, których to niby dzieci nie mogą zrozumieć. Pewnego dnia spotkaliśmy się znienacka, stanęliśmy naprzeciw siebie, my, dzieci polskie, i oni, dzieci niemieckie, i wcale nie mieliśmy

ochoty bić się. Zaczęliśmy rozmawiać ze sobą, a potem bawić się razem. Było nam przyjemnie i byliśmy dla siebie czymś nowym, atrakcyjnym, interesującym. Wtedy wypadli z domów i alejek rodzice polscy i niemieccy. Krzyczeli, byli czerwoni ze złości, szarpiąc i popychając ciągnęli nas do domu. Potem już ani nie biliśmy się, ani nie bawili, a rodzice byli bardzo z takiego stanu rzeczy niezadowoleni. Chcieli, byśmy się bili, wzajemnie obrywali po pysku, a oni żeby mogli nad tym lamentować.

Zacząłem wspominać Zoppot po wyjściu żołnierzy, którzy przeprowadzili u mnie rewizję i grozili mi rozstrzelaniem. Patrzyłem przez okno w stronę Alej Ujazdowskich. Był bardzo ładny dzień, słoneczny, gęste, огоłocone z liści drzewa odcinały się na tle błękitnego nieba. Przypominały poszarpaną koronkę. Zaczął ogarniać mnie niepokój. Co właściwie może być w tej walizce Francuza, pana E.D.?

Odszedłem od okna. Co za sens przechowywać walizkę nieznajomej osoby, która o tym nie wie i która wcale o to nie prosiła? Dlaczego tak często robię rzeczy nietypowe i niewydarzone, mam platfusa i nie budzę sympatii w ludziach? Ja ludzi lubię. Dlaczego oni za mną nie przepadają?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI